

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

23

(Ciąg dalszy).

— Dobrze, kochana, to zależy od ciebie.
— Bolcew widząc, że Olga usiadła przy ciotce i nie tańczy polki, szepnął rotmistrzowi Lednoj, by przeszedł z nim do pokoju, gdzie był bufet, urządzony dla panów. Nalawszy dwa kieliszki szampańskiego, poniosł je na mały stoliczek w rogu pokoju i mówił przyciszonym głosem:
— Wasylu Antonowicz, przecież ty mój przyjaciel, mój druh i brat.
— Sprawiedliwie mówisz, Fiodor Fiodorowicz, serce ci oddałem, to i duszę oddam, powiedz, czego chcesz? Zabieraj wszystko.
— Wasylu Antonowiczu, liczyłem na ciebie, no, i nie zawiodłem się.
— Toż wstyd byłoby mi światu się pokazać... ja twój brat, licząc na mnie.
— Najpierw napijmy się — trącili się kieliskami.
— Mów, lżej ci będzie — zachęcał Lednoj.
— Zwierzę ci się... jestem zakochany do szaleństwa... po prostu rozum tracę...
— Ii — zaśmiał się Lednoj — to nie żadne nieszczęście. Ty umiesz chodzić około kobiet, jesteś młody i zuch, każda zakocha się w tobie, chciej tylko.
— Ba, chcieć, to chcę, cóż, gdy przystępu niema... ty jeden poratujesz.
W gowie rotmistrza Lednoj błysnęła myśl nagle, że Bolcew zakochał się w Sudkiewiczowej i żąda, aby mu jej ustąpił. Nie, tego byłoby za wiele, ona dziś tak ślicznie wyglądała, tak się tuliła do niego w tańcu. Spochmurniał też i odpowiedział dyplomatycznie:
— Fiodor Fiodorowicz, jeśli tu idzie o mnie tylko, wszystko zrobię... Lecz zrozum, że nie mam prawa rozporządzać trzecią osobą.
— I w tem bieda, Wasylu Antonowiczu, że tu idzie o trzecią osobę... powiesz kilka słów dobrych, zaprotegujesz, ot, ja szczęśliwy człowiek i do końca życia nie zapomnę ci tego.
— Wiesz co, bracie — rzekł Lednoj — z tobą naprawdę źle... ot, napijmy się wina.
Podszedł do wielkiego stołu, wziął nadpoczętą butelkę, wrócił, nalał kieliszki. Wypili.
— Otóż widzisz, przyjacielu, powiesz ty Irenie Pawłowiczównie — mówił o pani Sudkiewicz — dobre słowo za mną, przecież mnie znasz jako człowieka honorowego i uczciwego...
— Fiodor Fiodorowicz, czyś ty zwaryował? Czy ona moja? Czy do mnie należy?
— Pi, jaki z ciebie przyjaciel — kiwał głową z politowaniem żalosnem — to mówileś, że serce mi oddasz, duszę swoją... a takiej drobnostki odmawiasz.
— Ej, chyba ty pijany?! — zawołał Lednoj. — Ty nazywasz to drobnostką?
— Dla mnie, to życie — mówił Bolcew — a dla ciebie kilka słów dobrych, to nic; czy to taki, ból, upokorzenie?
— No, no, tak ty ze wszystkim zgłupiał...
— Prawdę powiedziałeś, ja za Olgą Aleksandrowiczówną świata nie widzę.
— Co? — krzyknął ucieszony Lednoj — jaka Olga Aleksandrowiczówna? Czy ta jej siostrzenica?
— Ta sama, bracie — westchnął.
— A cóż ja ci mogę pomódz?... Mów! Rozporządzaj mną!
— Kiedy odmawiasz...
— Nie odmawiałem, słowo honoru... wiesz, słowo wiatr, ot i powiedziałem, abys się opamiętał i mówił porządnie. Więc co mam zrobić?
— Ty dobrze jesteś z Ireną Pawłowiczówną. Ona ciebie poważa i twoje słowo ma u niej znaczenie.
— Może i tak jest, nie wiem — uśmiechnął się i podkreślił jasne wąsy.
— Już ja wiem, toż ona oczy ma tylko dla ciebie... A widzisz, ona jest ciotką Olgi Aleksandrowiczówny, ona może przemówić za mną, dobrze usposobić dziewczynę... Czy potrzebuję ci tłumaczyć? Czy nie wiesz, co może kobieta zrobić, jeśli tylko zechce? Jeśli wie, że robi tem przysługę temu, na kim jej zależy?

— Rozumiem teraz... ale nie zapominaj, że Olga Aleksandrowiczówna ma ojca.
— E, z ojcem dam sobie radę, a nie zechce pozwolić, to zmuszę; w tem moja głowa.
— Ano, zrobię to dla ciebie, tyś mój przyjaciel i brat. Czy dziś mam pogadać?
— Dziś?... Wiesz, Wasylu Antonowiczu, my wojskowi, my znamy się na strategii i taktyce — uśmiechnął się — ty powiesz jej dobre słowo o mnie... gdy będziecie sam na sam... a dziś uprzedź ją tylko, że poproszę, aby mi pozwoliła złożyć im wizytę i być u nich.
— Zgoda! Zuch z ciebie!... Ale nie sądziłem, że u ciebie taka gorąca krew! Ot, zobaczył, zakochał się na zabój i gotów na wszystko — zaśmiał się.
— U mnie krew gruzińska, bracie, ja w piekło pójde a swego dopnę, jak idzie o kobietę.
— A ona ładna! — cmoknął ustami Lednoj.
— Co to ładna! — zawołał Bolcew lekceważąco — powiadam ci, nieчем królowa, jaki majestat, powaga, a oczy! Ach te oczy, oszaleć można! I te włosy jej, czyste złoto!
— No, no, aleś zakochany — śmiał się Lednoj.
— I wiesz, ten pokraka, ten błazen Płazow, który był już raz pod śledztwem za niehonorową grę, on śmie umizgać się do niej!
— Co ty mówisz?! Płazow był pod śledztwem?! — zdziwił się.
— Tak jest. Usunął w sztosie jedną kartę... tłumaczył się, że był pijany a szło o grubą stawkę. My wiemy coś o tem, jakie to było pijaństwo! — zaśmiał się sucho. — No, ten jeden raz uwierzyli... ale wpadnie mi on w ręce, potańcuje on! — i zwykle tak ładna, przyjemna twarz przybrała wyraz dzikiej surowości.
Lednoj zauważył ten wyraz twarzy, nalewając kieliszki:
— Nie chciałbym być twoim wrogiem.
— Ja, Wasylu Antonowiczu, serdeczny człowiek, miękki, ale jak kocham, to bez pamięci, a jak nienawidzę, to także. I jeszcze jedno, wiesz, przyjacielu, szepnij Irenie Pawłowiczównie, ale aby i Olga Aleksandrowiczówna posłyszała, że ten Płazow to gracz, łampart i traci majątek, jakby mu kto płacił za to.
— Bądź spokojny, już ja się znam na polityce i powiem swoje... A teraz jeszcze po kieliszku i do roboty!
Na trzeci dzień po zabawie, rotmistrz żandarmski Bolcew, wyświeżony, w mundurze galowym, zadzwonił do mieszkania Sudkiewiczów.
— Są panie w domu? — spytał po polsku.
— Tak toczno, wasze wysokoje błagorodije — odpowiedział lokaj Jan.
— *Da ty ruskij czelownik* — uśmiechnął się, dał mu rubla i wręczył bilety. — Zanieś do pań!
— *Słuszajus!*
Za chwilę był z powrotem, zdjął płaszcz szeroki, długi, t. zw. mikołajewski, z bobrowym kołnierzem i poprosił rotmistrza do salonu.
Wkrótce wyszła pani w jasno fioletowym, eleganckim, koronkami ubranym szlafrocuku i podała rękę:
— Miło mi powitać pana.
— Przyszedłem się dowiedzieć o zdrowiu pań i złożyć moje uszanowanie.
Zaczęła się rozmowa banalna o pogodzie, karawale... Rotmistrz posepniał i co chwila oglądał się na drzwi przy każdym szeleście.
— Pozwoli pan, że zajrzę do Olgi.
— Ależ bardzo prozę.
Zastała ją nad książką.
— Oldziu, wyjdź do salonu, on przecież nie dla mnie tu przyszedł — uśmiechnęła się — wyjdź... wypada.
— Tak mi się nie chce, ciociu, tak nie chce.
— Więc przymus się, to trudno i obowiązki towarzyskie są obowiązkami, które spełniać należy.
— I o czem będę z nim mówiła?
— Taki oficer żandarmeryi wie dużo ciekawych rzeczy.
Olga wstała szybko z krzesła, przypomniała sobie swą służbę w partyi a taki żandarm może się z czemś wygadać, trzeba iść i rozmawiać.
— Za chwilę, ciociu tylko się przyczese.
Gdy weszła do salonu, rozjaśniła się twarz Bolcewa i ściskając podaną rękę, szepnął:
— Słońce weszło.
— O, z pana pochlebca — uśmiechnęła się pani — i niebezpieczny człowiek.
— Jakto niebezpieczny? Przecież jestem stróżem bezpieczeństwa, i kto ze mną, temu włos z głowy nie spadnie.

— Jeśli będzie co nam groziło, oddamy się pod opiekę pana.
— Będę szczęśliwy.
— Ależ ciociu, cóż może nam grozić? Tutaj, w tym spokojnym kraju?!

— Pani, panno Olgo, mówi spokojny kraj — uśmiechnął się z lekką ironią — jeśli spokój panuje, to tylko dzięki nam... ale w kraju wrze, wiemy o tem. Jacys fanatycy, zwaryowani ludzie, buntują spokojny naród, rzucają proklamacye, obiecują złote góry, tworzą tajemne związki.
— No, proszę — płasnęła pani w białe, wypieszczone ręce — dzieją się takie rzeczy, a my nic nie wiemy.
— O, o wielu rzeczach my tylko wiemy — uśmiechnął się z dumą.
— Ale wie pan, mam tu dużo znajomych Polaków, rozmawiałam często o polityce i żadnemu nie śni się o powstaniu. Znadto dużo ucierpieliśmy w toku 1863, aby teraz miało się powtórzyć.
— I ja jestem zdania cioci... nikomu nie śni się powstaniu niemożliwem zresztą wobec broni dzisiejszej. Możemy ciociu spać spokojnie, pan rotmistrz zażartował i to nieładnie przerażać kobiety — kończyła wymówką.
— Zażartowałem... chciałem przerazić... — uśmiechnął się z ironią. — Najpierw nigdy z pań nie pozwoliłbym sobie żartować, a tem mniej przerażać. To, co mówiłem, jest niestety prawdą. Socjaliści szerzą swe zasady zbrodnicze, rewolucyjne, i znajdują posłuch w ciemnej masie robotników.
— Słyszałam coś o socyalistach — mówiła Olga, spoglądając na rotmistrza — ale nie znam ich zasad.
— Ich zasady są bardzo proste: odrzucają religię, władzę, prawo, nie chcą znać własności żadnej i panować powinni robotnicy.
— Ależ to okropne — oburzyła się pani — tych tępiłabym bez żadnego miłosierdzia. Nawet religię odrzucają?
— Opowiem paniom anegdotę, ona najlepiej charakteryzuje socyalistów. Pyta się chłop drugiego, co to jest nihilista? A tamten, co ich znał, powiada: Nihilista mówi: dusza? to komórka; rodzonoego ojca po zębach? mżna; Boga niema; cara niema; ot ich zasady — śmiał się.
— A, nihilisci! Znam ich z procesu — zawołała pani — to straszni ludzie! Chwała Panu Bogu, że u nas niema zamachów.
— Prawda, ciociu... to dziwne!
— I w Polsce nigdy nie będzie — rzekł rotmistrz — oni się wykrzyczą, wyhałasuują i koniec. Zaś ruski człowiek zawzięty, ten swego nie daruje, ale tych nihilistów od zamachów już wyłapano wszystkich i spokój jest.
— No, a socjaliści? — spytała Olga.
— I tym poradzimy. Rząd niczego nie zaniebuje, aby spokój panował.
— Ach, jak jabym chciała widzieć socyalistę prawdziwego! — zawołała pani.
Olga spojrzała na nią drwiąco, lecz szybko spuściła powieki.
— Idź pani do fabryki, wśród robotników znajdziesz ich pani na pewno.
— Ale nie tych zwykłych, ale ich przewódców, tych, którzy są na czele.
— Tacy się ukrywają.
— A pan ich widział, znał?
— Od czasu do czasu trafi się taki... Ale szkoda słów tracić na takie rzeczy... czy idą panie na włoską operę?
— Jeszcze nie wiem...
I potoczyła się rozmowa o nowinkach dnia, o bliższych i dalszych znajomych, o skandalikach w ich świecie.
Po jego wyjściu, ciotka, biorąc bilet do ręki, powiedziała:
— Zauważyłaś, Olgo, on przyszedłszy do nas, oddał bilety francuskie... to delikatność wieka i znacząca.
— Pilnuje się tylko form światowych.
— On tego nie robi bez zamiaru.
— Nic u nas nie wysłodzi — powiedziała Olga dość szorstko.
— Nie mówię o tem... ale widocznie podobałaś mu się... trzeba przyznać, że on przystojny i elegancki.
— Ale zawsze żandarm.
— Prawda... gwardya stoi wyżej... Idę, Olgo, do miasta, mam kilka sprawunków, może pójdziesz ze mną?
— Nie, ciociu, zostanę w domu.
W kilka dni Bolcew zaproszony zjawił się około ósmej wieczorem, jak zawsze uśmiechnięty i wystrojony.